

## PIERWUSZYNA JELENA

O spełnieniu czasu

Z "NF" 8/99

Alcybiades został osądzony zaocznie,  
mienie jego skonfiskowano,  
a poza tym zdecydowano,  
że mają go przekląć wszyscy kapłani  
i kapłanki,  
z których tylko jedna,  
Feano, córka Menona,  
ze świątyni Agrawy,  
odmówiła podporządkowania się decyzji,  
oświadczywszy,  
że jest kapłanką  
błogosławiącą,  
a nie przeklinającą.  
PLUTARCH - "ŻYWOTY"

I Niegdyś, dawno temu, kiedy ziemia dopiero się rodziła, początki jej historii były trudne. Wszystkie Moce, jakie istniały, chciały ją zniszczyć. Nie ma potrzeby, twierdziły, wprowadzać jakieś tam nowości, nam nie jest wcale tak źle. Wiatry, biedaczkę, tarmosiły, fale kąsały brzegi, głębinowe duchy tłukły ją pięściami w brzuch, słońce albo się chowało na pół roku, albo przez pół roku paliło jak wściekle. Ludziom wówczas było bardzo ciężko. A bogowie tylko złapali się za głowę. Wszak oni tylko chcieli się zabawić i wcale nie myśleli, że ta ich zabawka tak wszystkich rozeźli...

Płakać się chce, a wstyd.

Moje rękawy - w końcu to pożegnanie z ojczyzną - są mokre.

Co prawda, nie od łez.

Na razie.

Stoję w zakopconej kuchni "Końca świata", wdycham zapach spalonego czosnku i piwnej brzeczeki, raz po raz przejeżdżam nożem po oselce, wsłuchuję się w radosne "wżik-wżak!" kolejnego noża. Nikt o nie nie dba, więc stępiły się, biedactwa.

Paruje brudna woda w balii, obok wznosi się gliniana wieża wymytych talerzy. Moje ręce są czerwone i spuchnięte. Oczy, pewnie, też. Dobrze, że jest tu ciemno.

Jestem o dziesięć dni drogi od stolicy, od morza, od mojej świątyni.

O dziesięć dni jazdy wierzchem.

Sama.

Zezuję na kucharkę - patrzy na mnie? Widzi? I żeby nie wyc na głos opowiadać sobie bajki.

Co tu robić? - martwili się bogowie i poszli w końcu pokłonić się do morskiego króla. Przyrzekli mu, że jeśli pomoże im uwolnić ziemię od cierpienia, to oni mu z wdzięczności подарują cały gwiazdny świat. To się królowi spodobało, więc dał bogom władzę nad żywiołami. Uciszyli wtedy bogowie huragany, sztormy, a i głębinowym duchom oberwało się potężnie. Wszystko byłoby dobrze, tylko jedna rzecz została niespełniona: nie mieli bogowie pojęcia, jak zapłacić morskiemu królowi. Wszak gwiazd z nieba nawet oni nie mogli zerwać!

Myśleli, sprzeczekali się i wymyślili. Przywieźli do króla wóz soli i wysypali ją do wody. Skąd ma morski król wiedzieć, jak wygląda gwiazdny świat z bliska, powiedzieli. Od tej pory woda w morzu jest słona.

A jeszcze się okazało, że od chwili, gdy bogowie morskie królestwo odwiedzili, młodsza królewna oczekuje potomka. Morski król, jasna sprawa, strasznie się rozłościł i bogów wraz z ludźmi przeklął. A przekleństwo to polega na tym, że żywioły bogom służyć będą długo i wiernie, ale gdy wszyscy zapomną o strachu, zbuntują się służy i zetrą wszystko na miazgę. Powstanie wtedy nowe niebo i nowa ziemia. A na tej ziemi wnuczek morskiego króla, ten niespodziewany potomek, będzie królem. A przed zagładą pojawią się trzy znaki. Najpierw wyć będzie Czarny Pies. Potem zapieje Czarny Kogut. A potem pęknie ziemia i wyleżą ze szczelin straszliwe smoki, spalą wszystkie pola, otrują wszystkie rzeki i pożrą wszystko, co żywe.

Oberża nosiła nazwę "Koniec świata" nie nadaremnie. Tu, na jednym brzegu rzeki są włości króla, a na drugim - ziemia dziwii. Tu - jeden świat, tam - inny. Co prawda, na szyldzie wypisane jest zwyczajnie, bez żadnych wykrętów: MIĘSO - PIWO - TYTONIÓ. Ludzi, którzy uciekają z głodującego Królestwa, taki szyld przyciąga z nieprawdopodobną siłą. Kiedyś wcześniej walczyliśmy z dziwiami. Ale ubiegłej jesieni na wybrzeże najechały żądne krwi i okrutne ludy morza i nagle wszyscy sobie przypomnieli, że dziwie i ludzie Królestwa to jeden naród, potomkowie dwóch braci, co to z jakiegoś błędnego powodu się pokłócili; czy chodziło o podkowę, czy o uzdę - nikt już nie pamiętał. O starej wrogości szybko zapomniano, dlatego dziś na rubieżach jest spokój i cisza. Niektórzy, co prawda, obawiają się ciosu w plecy, ale ja tak nie myślę. Niechby nawet dziwie pokonali ludzi, a co potem - z ludźmi morza sami będą walczyć?

Rano, kiedy tu trafiłam, rzeczywiście, było urwanie głowy. Okazało się, że poprzednia pomywaczka, na moje szczęście, dwa dni temu uciekła z pastuchem z dziwiej wsi. W kuchni zbierało się brudnych naczyń od podłogi do sufitu.

Gospodarz, ledwo go o pracę zapytałam, zaraz mnie za rękaw do balii zaciągnął. Oczywiście, natychmiast go osadziłam - najpierw trzeba zapłacić.

Dogadaliśmy się za stół, dach, trzy miedziaki na tydzień i kupon na suknię w zimie. Moim zdaniem nieźle. Z głodu nie umrę, a i boginię wykarmię. Latem - mlecz, w zimie zawsze można zdobyć marchewkę albo rzepę.

Bogini mi szczególnie żal. Mnie przynajmniej przepędzili, bo mieli za co, a ja - ot, tak, dla towarzystwa.

Ostrzę noże i spoglądam na kucharkę.

Właściwie na to, co ona wyprawia z mięsem.

Tnie je wzdłuż włókien i ani jednego ziółka do sosu nie wrzuci.

Można uważać, że mam przyszłość w tej oberży. Na mięsie i piwie znam się lepiej od innych. Tylko w Panteonie kapłanki to same istoty wyższe, które potrafią jeno przewracać oczami i walić czołem o podłogę. A ja, powiem to bez przechwałek, miałam najporządniej utrzymaną świątynię w stolicy, chociaż sama jedna się tam kręciłam.

A gości w oberży coraz więcej.

Najpierw miałam nadzieję, że przed północą doczołgam się do pryczy i popłaczę sobie, ile będę chciała, ale gdzie tam!

Zresztą goście niemal niczego nie zamawiają i nawet rozmawiają tylko półgłosem, jakby na coś czekali.

I doczekali się.

Na podwórzu nagle ze złością zawył pies.

Potem za ścianą w sieni wrzasnął, niczym oblany wrzątkiem, kot.

A potem coś tam się poturlało i zabręczało.

Goście poderwali się, słysząc ten hałas, a potem ruszyli w kierunku jego źródła.

Ja - za nimi.

Kucharka łapie mnie za ramię i mówi:

- Przestań, nie ma na co patrzeć, to znowu on.

Ale uwalniam się od jej ręki, przepycham się do drzwi i widzę, kim jest ten "on".

Na górze, przy poręczy, napuszone tak, że wygląda na trzy razy większe, niż jest w rzeczywistości - kocisko. Na dole, na wiązce przegniłej trzciny i tkanym dywaniku, jak powiedziała by Gust, mój przyjaciel z nocnej straży Portu - trup w wieku mniej więcej lat dwudziestu.

To znaczy dwudziestoletni młodzieniec, chyba, chłopak, ze skręconym karkiem.

Dokładniej mówiąc - trup chłopaka.

Tak, to brzmi lepiej. Dokładniej.

Potem kucharka nagle łapie mnie za łokcie, ciągnie do tyłu.

- Idź, idź się położyć, zaraz mi tu zemdlejesz - syczy.

Posłusznie wracam do kuchni, siadam na lśniącem od cudzych tyłków taborecie i czekam co będzie dalej.

I słyszę jak tam, za moimi plecami, mężczyźni rozmawiają rzeczowo i - nie wiadomo dlaczego - wesoło. Nie rozróżniam słów, ale słyszę chichot w ich głosach. Mężczyźni podnoszą biedaka z podłogi, wloką na podwórze i - w tym momencie przylegam okiem do okienka - układają na starym koźle do cięcia drewna.

Nieco dalej, pod ścianą drzemie żebrak w ohydny kapeluszu, na kolanach ma coś okrągłego i białego, ale co to jest nie widzę - zachodzące słońce świeci prosto w oczy.

U jego stóp leży podobny do wilka pies. Pewnie to właśnie ten pies wył.

Kiedy orszak wychodzi przez drzwi oberży, żebrak i pies jednocześnie unoszą głowy, ale natychmiast je opuszczają, jeden na pierś, drugi na łapy.

Przez chwilę mam wrażenie, że wszystko mi się poplątało i trafiłam nie do oberży, lecz do namiotu cyrkowego na jarmarku; dwuręczna piła do "przecinania" ludzi jednak się nie pojawiła.

Ciało po prostu nakrywają derką, potem goście wracają do oberży, dokonują kolejnych zamówień i mniej więcej godzinę później rozchodzą się.

Po zmierzchu zostają tylko dwaj czy trzej; pewnie zbyt daleko wypuścili się na swych kulawych konikach.

Gospodarz podnosi leżący przy schodach połamany łuk i strzałę i wrzuca do ognia.

Słyszę jak huczy, płonąc, smołowane drewno. Taki to znajomy dźwięk.

- To nic, nie przyzwyczaiłaś się jeszcze. Poczekaj, niech wyjdzie księżyc, nie takie rzeczy się zaczynają.

Na pewno nie; nie zamierzam dzisiaj ani mdleć, ani płakać. Na pewno.

2 Tak naprawdę to nie boję się nieboszczyków.

Tak naprawdę, to boją się zazwyczaj ci, którzy w ogóle nie widzieli umarlaka.

Nie mieli jeszcze z tym do czynienia i nie wiedzą, na co stać ich samych i trupa. Wydaje się im, że wszystko nie jest takie proste, że w śmierci jest coś, o czym wszyscy milczą. Wiedzą, ale milczą. Coś jak miesiączka u kobiet. Niby drobiazg, a niezwykle.

Już widziałam wystarczająco dużo, by nie tylko nie odczuwać strachu, ale nawet zdziwienia. Dlatego, jeśli godzinę temu omal nie padłam jak worek na podłogę, to wcale nie z powodu strachu.

Po prostu pomyślałam, sama nie wiem dlaczego, że nieboszczycy się dla mnie skończyli, wraz ze stolicą i wojną.

Jeśli moją boginię interesują moje myśli, to pewnie chichocze teraz cichutko w swoim koszyczku.

Jak już mówiłam, wszystko się pomieszało ubiegłej jesieni.

A przez całą zimę i wiosnę patrzyłam na wojnę, nie byłam w stanie oderwać od niej oczu. Wyglądała zupełnie nie tak, jak oczekiwałam.

Okręt przypląwał raz na siedmiecę, czasem nawet raz na trzy dni. Działo się to pod wieczór, skradał się i przybijał do odległego pirsu.

Czasem znajdowało się na nim tylko dwadzieścia trupów, czasem około setki.

Jak tłumaczył Gust, z tej liczby nie można było sądzić o tym, ile rozegrało się potyczek i kto zwyciężył.

Wiele zależało od pogody - zdarzał się taki wiatr i takie fale, że ani jednego trupa nie dało się wyłowić.

Albo na odwrót - pełny sztil i upał, a mimo decyzji Rady Starszych, wiele różnych różności leciało za burtę.

Na szczęście, mieliśmy mało upalnych dni. Wojna z morskimi ludami zaczęła się jesienią i przeciągnęła się na całą zimę. Tak więc różne były nowości - i północny wiatr, przenikliwymi paluchami rachujący kości, i przemoczone słonymi kroplami ubranie, i skurcze złodowaciałych palców. Ale, co do zapachu - chwała bogom! - śmierdziało zupełnie znośnie.

W mieście z ust do ust przekazywano opowieść o tym, jak jakieś sto lat temu zwycięzcy z powodu sztormu nie pozbiali swoich zabitych i, gdy okręty wróciły do miasta w chwale, Rada zdecydowała o egzekucji dowódców. I żadne błagania nie pomogły.

Ale straszenie straszeniem, a jeśli ktokolwiek zamiast na dno morskie trafił na miejski cmentarz, to i tak - dzięki.

A za to, że trafiali w mniej lub bardziej przyzwoitym stanie trzeba podziękować straży miejskiej. I mnie.

W sumie praca była dla kobiety - mycie, cerowanie, malowanie, perfumowanie. Tyle że zajmowała się tym, nie licząc mnie, piątka niezdatnych do służby wojskowej chłopaków, co i rusz biegających za najbliższym usytuowanym barak, by zwrócić zawartość żołądka.

A kiedy przed świtem na molo pojawiali się krewni, Gust zawsze wciskał mi taką naręcz drewna, że ledwo mogłam się wyprostować. I mawiał:

- Gdy przyjdiesz do domu, koniecznie się umyj. Dobrze się umyj, słyszysz? Nie żałuj ciepłej wody.

W sumie:

Młody młodą umiłował,

Młody młodej nie żałował:

"Kocham ciebie, to rzecz pewna,

Dlatego kupię ci drewna!"

Tak, śmieszne to były czasy, kiedy chłopak mógł wyrazić swą sympatię w taki oto sposób. Przy tym drewno było nie byle jakie - przede wszystkim smołowane okrętowe deski; jakże one potem huczały i trzaskały w piecu!

Potem, pod wieczór, kiedy wszystkie rozpoznane ciała krewni odwozili do domów, wracałam do portu.

Do nierozpoznanych.

Teraz zaczynała się moja właściwa działalność.

Po prostu patrzyłam na nich i zapamiętywałam.

Potem Gust i chłopaki wywozili ich, żeby pogrzebać na starym cmentarzu.

A ja szłam do świątyni, karmiłam swoją boginię, i szczegółowo opisywałam jej każdego. Ubranie, włosy, pieprzyki, blizny, brwi, wargi, dłonie. Opowiadałam też o tym milczącym oczekiwaniu, które widywałam wypisane na ich twarzach. Jakby ich dusze krążyły gdzieś jeszcze nieopodal, ale bały się zwrócić na siebie uwagę, jak dobrze ułożone dzieci z porządnego domu. Starali się nie okazać, że boją się udać w daleką podróż bez przewodnika. Więc prosiłam swoją boginię, żeby pilnowała ich, by nie zbłądzili, nie pomylili drogi. Nikt poza mną o nic dla nich nie prosił.

Moja bogini nazywa się Gesichja, co oznacza Cisza.

I jeśli mam jakiegokolwiek pojęcie o czymś prócz mięsa, czyszczenia noży, mycia statków w oberży i prania chodników, to właśnie o ciszy.

Potem, spełniając obietnicę daną Gustowi, grzałam wodę i myłam się.

Nie dlatego, że chciałam z czegoś się oczyścić, wcale nie czułam się spostonowana z powodu krzątania z nieboszczykami. Po prostu chciałam zrobić przyjemność temu dobremu człowiekowi.

Może Gust, ten czyścioszek, ustrzegł mnie w ziemie przed wszawą gorączką.

Chociaż po świątyni hulały takie przeciągi, że miałam bardzo duże szanse, by zaprzyjaźnić się z jej siostrzyczkami - Trzęsią i Uduszlą.

Taką mieliśmy wojnę.

Dziwną trochę, ale pewnie nie gorszą i nie lepszą od innych.

Miałam tylko nadzieję, że wygnanie ze stolicy oznacza przynajmniej, że już jestem od tego wolna.

Ale nie.

3 Jednakże sprawy w "Końcu świata" układały się lepiej niż sądziłam wcześniej.

Gdy tylko na niebie pokazała się nierówna, jak pierwszy ząb dziecka, połowa księżyca, derka na kozłach nagle się poruszyła. Nieboszczyk drgnął kilka razy, powiercił się, potem odrzucił derę, rozejrzał się, podrapał po głowie i zeskoczył na ziemię.

Przy tym wyglądał dość żywo.

Co prawda, nie spotykałam wcześniej odżywających nieboszczyków, ale - nie wiem dlaczego - wydawało mi się, że powinien od nich dochodzić zapach martwizny. Nie poczułabym, oczywiście, tego zapachu, ale ten i tak poruszał się lekko i swobodnie, a i szyja w tej chwili już nie wyglądała na skręconą.

Ludzie w oberży nawet nie przerwali na jego widok rozmów, jakby nic się nie stało.

Żebrak, spokojnie drzemiący pod ścianą, też ani mrugnął okiem.

I tylko psisko pod nogami żebraka, czując nieboszczyka, podniosło głowę i położyło uszy po sobie.

Nieboszczyk rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że przeprasza, że nie chce niepokoić, potem wyszedł cichutko przez wrota i zniknął w ciemnościach.

Wróciłam do kucharki. Moje wytrzeszczone oczy i półotwarte usta sprawiły jej wielką przyjemność.

Rano na kolanach szoruję i drapię podłogę w oberży, a sama rozmyślam nad przygodą, którą uraczyli mnie wczoraj tutejsi stali bywalcy.

Już niemal dwa lata minęły od czasu, gdy osiedlił się w "Końcu świata" ten włóczęga-zebrak i pies. Włóczęga - chłopak spokojny, nieszkodliwy, przez cały dzień wyplata koszyki. Piesek jest dobrze ułożony - ani razu niepotrzebnie nie szczeknie. Dlatego nikt ich nie wypędza.

Ale, tak mi się wydaje, ten włóczęga komuś niezłe dokuczył. Co wieczór pojawia się w oberży jakiś typ i usiłuje biedaka żebraka wykończyć.

Lecz gdy tylko zabójca za broń chwyta, to czujny i wierny pies zaczyna szczekać i natychmiast zabójcy coś złego się przytrafia: a to na własny nóż się napruje, a to potknie się i łbem w kamienie walnie albo jak wczoraj: ze schodów się złomocze.

A najśmieszniejsze jest to, że gdy tylko wschodzi księżyc, zabójca wstaje i odżywa. Do następnego wieczora.

Najpierw ludziska się go bały, ale przez dwa lata wszyscy przywykli i nawet uczynili sobie z tego coś na kształt rozrywki - przychodzą co wieczór, żeby zobaczyć, co tym razem ten fajtłapa wykombinuje.

Żebrak też już się nie boi, widocznie nie wątpi w swojego obrońcę.

A gospodarz - wiadomo - ten cieszy się jak świnia w borówkach, że może pieniądze łopata zgarniać.

Taka ci tam historia się odbywa. O, dziwne są sprawy wasze, bogowie! Ale jak pomyślę, jakie wy sobie zabawki prokurujecie, podczas gdy my tu pozabijanych ludzi dziesiątkami grzebiemy, to po prostu wlaźłabym do waszego nieba i porządnie sprąla wam tyłki.

Po zakończeniu pracy wyniosłam swoją boginię, żeby sobie pochodziła po trawie. Na szczęście jest ciepło, co tam ciepło - gorąco, jak latem, oby tylko deszcz nie padał... Sama usiadłam sobie na ganku, żeby odpocząć.

I widzę jak za płotem żebrak bawi się ze swoim psem. Przy okazji okazało się, że dość przyjemnie się na niego patrzy. Młoda twarz, kędzierzawe włosy, szerokie ramiona, w talii wąski. Chłop jak się patrzy!

Żebrak rzuca psu kij, psisko szczęśliwe nad wyraz pędzi po patyk, chwyta, wlecze z powrotem, głową majta, że niby - nie oddam!

Wszystko byłoby fajnie, mogłabym tak patrzeć na nich, rozczulać się i śmiać do rozpuku, ale jedna rzecz mnie martwi - milczy psina. Nie szczeka, nie popiskuje, nie warczy.

Pierwszy raz takiego psa widzę.

Od razu zamykam sobie usta dłonią. Boję się, że następna myśl wyleci mi z nich i zacznie popiskiwać: "Patrzcie! Czy nie widzicie?! Pies jest CZARNY!"

Nie wiem, jak u innych, ale w mojej głowie nigdy myśli się nie zatrzymują - od razu walą do rąk i nóg.

Dlatego wsuwam swoją boginię do koszyczka i, zostawiwszy ją na ganku, rzucam się do kurnika. Otwieram drzwi i widzę: pół tuzina niosek - cztery bielutkie, dwie dropiate, i kogutek - czarny.

No tak.

Zaczynam postępować jakbym chciała, żeby mnie przepędzili z oberży na cztery wiatry. Klaszcząc w dłonie i powiewając spódnicą, gonię kogutka po całym kurniku. Ten wieje ode mnie zręcznie, wlatuje na grzędę, potem skacze w dół, a wszystko to bez jednego jedyne dźwięku.

A tego właśnie się bałam.

Najbardziej prawdopodobne jest to, że niedługo wybiorę się zbierać kwiatuszki na łąkach Anoi - Szału.

Ale życie jest uparte. A jeśli tak natrętnie podsuwa ci coś pod nos, głupio zamykać na to oczy.

Nie, no - naprawdę twardo postanowiłam skończyć ze swoją wspaniałą przyszłością w tutejszej kuchni.

Nie, nie lenię się i nie unikam pracy.

Na razie.

Po prostu jeśli trafia mi się wolna chwilka, wlażę po drabinie na dach kurnika i siedzę tam, przyglądając się okolicy.

Na szczęście karczma stoi na wzgórku i z dachu dobrze widać wszystko, aż do horyzontu: rzeczka, wzgórze, lasy, wioski.

Pod wieczór zaczyna kropić deszczyk, a ja ciągle siedzę, jak za karę, i wypatruję oczy.

Chwała mi i bogini, że dojrzałam, nie przegapiłam!

Czarny punkcik pokazuje się przy jednej leśnej wysepce i natychmiast zanurza się w drugiej.

Wpadam do karczmy, szybko proszę gospodarza o chwilę wolnego czasu i biegnę z całych sił na spotkanie zabójcy.

4 Tutejszych ścieżek, niestety, nie znam, ale, skacząc niczym młoda koza po zaroślach i nabierawszy na sukienkę garście rzepów, spotykam swego pupila w pobliżu dziwnej wsi. Przekonuję się jeszcze raz - żywy jak marzenie. Nikt by nie powiedział, że wczoraj leżał na koźle do pilowania drewna.

Krzyczę doń:

- Hej, poczekaj, musimy porozmawiać!

A ten, nie miarkując kroku, rzuca przez ramię:

- Czego chcesz?

- Musimy porozmawiać. Powiedz mi, kto ci taką robotę naraił?

Zatrzymuje się, odwraca, i zaskakuje mnie - jakiś taki mały, niewiele wyższy ode mnie, a chudy! Przecież żebrak go gołymi rękami połamie!

- A ty kim jesteś? - pyta.

- Pomywaczka z "Końca świata". Chcę ci pomóc.

Patrzy na mnie zdziwiony, jak i ja na niego. Potem doradza:

- Wracaj do siebie, ślicznotko. Bo się z m o c z y s z na deszczu.

Nie muszę długo szukać riposty.

- W stolicy takie zarciki przestały krążyć jakieś pięć lat temu - powiadam, akcentując smutek i pogardę.

- No to czego tu szukasz, zamiast siedzieć w stolicy?

- To długa opowieść. Usiądź, dowiesz się wszystkiego. Siadaj, siadaj. Pies z kogutem poczekają jeszcze trochę. Nie tyle już czekały.

Wydaje się, że utrafiłam w dziesiątkę, bo chłopak posłusznie przycupnął na przegniłej, wyłamanej z płotu belce, i rzuca:

- Dobra, wal. Wygadaj się

Właściwie - gdybym zaczęła teraz opowiadać szczegółowo, za co mnie pogonili ze stolicy, to byłoby to marnowaniem czasu.

Ale nie da się inaczej.

Muszę wyciągnąć z chłopaka jego opowieść, ale zamiast to robić opowiadam o sobie.

Wiem już, że niełatwo będzie teraz z nim rozmawiać.

W końcu nastawił się, że wkrótce zabije i sam zginie, a nie, że będzie ucinał pogaduszki pod płotem na polu.

Podobny jest teraz do strzały - twardy jak bukowe drzewce. Więc - na razie - muszę go przyzwyczaić do prowadzenia ludzkiej rozmowy.

Opowiadam mu najpierw nie o sobie, lecz o mieście, o tym, jak uciekały jesienią z Portu dumne okręty, jak płonęło ogromne ognisko na placu przed świątynią Aety Wojowniczkii, jak rżnięto na jej cześć barany i obzerano się pieczonym mięsem. W tym momencie zabójcy zaświeciły się oczy - albo nigdy nie widział okrętu, albo po prostu dawno pieczystego nie jadł.

Opowiadam jak potem, po dwutygodniowej ciszy, rozpełzły się po mieście plotki, jak zaczęłam widywać na targu coraz więcej kobiet z zaczerwienionymi oczami i zaciśniętymi

ustami, a kobiety te uchylały się od odpowiedzi na pytania, ponieważ - co zrozumiałam później - ciągle jeszcze wierzyły, że zaszła pomyłka albo któryś z domowych opiekuńczych duchów dokona cudu i bały się ten cud spłoszyć.

Opowiadam jak pewnego wieczora przyszli kapłani Panteonu i po raz pierwszy zaprowadzili mnie do Portu.

- A ty komu służysz? - pyta mnie wreszcie chłopak.

- Gesichji.

- W życiu o takiej nie słyszałem.

- Bo jest mała - wyjaśniam. - Mała i cicha.

- Hm...

Chcę zapytać: "A komu ty?", ale zerknąwszy na niego, decyduję, że trzeba jeszcze trochę poczekać.

Opowiadam więc o wysuniętym pirsie, o zarzyganych deskach za barakiem, o drewnie. I o nowych plotkach, które pojawiły się na wiosnę, wraz z pierwszymi kłębiastymi chmurami i przelotnymi ptakami. O jednym z naszych dowódców. Okazało się, że niemal od samego początku przystał on do ludzi morza i dlatego przez całą zimę ponosiliśmy porażki, jedną po drugiej. I Rada Starszych zdecydowała, że wszyscy kapłani miasta mają przekląć tego taktyka. Wszyscy tak uczynili. Prócz jednej durnej baby, która przez całe życie myślała, że jest kapłanką do błogosławienia, a nie przeklinania. I w żaden sposób nie można było jej przekonać, że jest inaczej.

- To był twój krewny, czy jak? - pyta zabójca.

Pytanie, które zadawano mi nieskończenie wiele razy.

- Kto, dowódca?

- Tak.

- Nie, to obcy.

- No to po co?

To pytanie zadawano mi równie często i miałam na nie przygotowaną odpowiedź.

Odpowiedź, co ma wszystkie odpowiedzi pod sobą. Po prostu sfiksowałam tej zimy i już.

Gust dostał fioła na punkcie drow, a ja - na punkcie tego taktyka. Wspaniała odpowiedź.

Tylko po co mam kłamać bez potrzeby, skoro i tak sprawa przegrana? Więc odpowiadam czystą prawdą:

- Dlatego, że moim przeznaczeniem jest błogosławić, a nie przeklinać.

- A co robisz w tej okolicy?

- Czy to jest koniec świata?

- Gdzie?

- No, tu. Czarny pies, który nigdy nie szczeka, czarny kogut, który wcale nie pieje, ponieważ czas jeszcze nie nadszedł. A żebrak to kto?

- Wnuczek morskiego króla.

- Kto ci go kazał zabić?

- Et. W naszym ogrodzie wyszła po prostu spod ziemi. W hełmie i pełnej zbroi. Trzy grządki wzrokiem spopieliła.

Kiwam głową.

Et, Opróżniająca Kołczany, inaczej Aeta, Wojownicza - tysiącletnia dziewica. To w jej stylu wszczać tę sprawę tu, na krańcu świata, po prostu po to, żeby ponabijać się z chłopaka.

- Nie mogła znaleźć kogoś mocniejszego do tego zadania?

- Jestem siódmym synem. - Rozłożył ręce. - Siódmy syn zawsze jest słabszy. A ten młodziak morski nosi na lewej ręce bransoletę. Dwa splecione srebrne węże. A bransoleta ma moc, dzięki której będzie on rządził światem. Tak Et powiedziała. Przyjrzyj się dziś wieczorem.

Wieczorem można ją zobaczyć.

- A kiedy kogut zapieje?



- Ten kur? A skąd mam wiedzieć. Sam czekam co wieczór. Mówiłaś, że wielu ludzi poległo tej zimy. To Et się śpieszy - zbiera dla siebie wojsko. Jeśli w ogóle coś wiem, to to, kiedy należy milczeć. Milczę i myślę. O tym, jak to jest: całe życie psu pod ogon i co wieczór umierać po durnemu w akompaniamencie cudzego rehotu, tylko dlatego, że - może - kiedyś obca magia się zagapi i można będzie trochę odwlec koniec tego wszystkiego. Cały czas trzeba czekać, kiedy kur zapieje i ziemia pod stopami zacznie pękać. Nie wiedząc przy tym, czy ma się najmniejszą szansę, by dokonać czegoś, czy to może tylko żarcik bogini. Sądzę jednak, że chyba Aeta nie żartowała. Na taki dowcip ma za mało rozumu. Bogowie w ogóle są tego... Przecież i na ten pomysł z solą zamiast gwiazdnego świata wpadli z wielkim trudem. Mało mam wspólnego z tą Aetą. Ale jej przykazania pamięta każdy rozumny człowiek.

To, co ma być wykonane, musi być wykonane.  
Nie należy robić tego, czego nie powinno się robić.

- Dobrze - powiadam. - A teraz porozmawiajmy o tym, co powinniśmy robić dalej.

5 Wieczorem w "Końcu świata" straszne zamieszanie - zabójca nie pojawił się. Wszyscy goście rozeźleni, a gospodarz zachmurzony jak niebo przed burzą. Żebrak też się czuje nieswojo. Zaczął wyplatać koszyk, połamał witki, wyrzucił za płot. Niepokoi się. I właśnie kiedy rzucał tym koszykiem, zobaczyłam bransoletę. Są węże czy ich nie ma - nie wiem, za daleko było. Ale jakaś bransoletka na pewno jest. Obsztorcowałam siebie jak tylko mogłam. Miał rację chłopak, powinien był przyjść tu znowu, niepotrzebnie go namówiłam, żeby nie przychodził. Zrobiłam to dla siebie, nie mogę już na to patrzeć. Ani razu. Mam już dość śmierci. Ludziska siedzieli aż pojawił się księżyc. Potem ponarzekali i rozeszli się.

Noc.

Mówię do swojej bogini:

- Posłuchaj, Gesichjo. Nigdy nie prosiłam cię, żebyś decydowała za mnie, ale może tym razem jest taka okazja? Przecież wiem, że po prostu rozum mi się zmącił, jak i wszystkim innym tej zimy w stolicy, i nie potrafię zdrowo myśleć. Trzęsie mnie, mdli, nie wiem nawet, czego chcę: czy uchronić ziemię przed końcem świata, czy przetrącić grzbiet tej wojnie, czy po prostu uwolnić chłopaka. A przede wszystkim, żeby to wszystko jakoś szybko i bez mnie się odbyło. Ale czy ważne jest, czego ja chcę? I wojna, i zemsta morskiego króla zupełnie nie zależą od mojego widzimisię - ani ich początek, ani koniec. Nigdy nie mówiłam światu, jaki ma być, przecież wiesz. W sumie, jeśli nam jutro nie pomożesz, to wiedz, że nie będę ci miała za złe.

Odpowiedzi, rzecz jasna, nie było, z czarnych oczu bogini jak zwykle nie da się nic wyczytać. Ale jeśli już komuś postanowiłam wierzyć, to wierzę.

Ranek zaczyna się normalnie. Żebrak obcina nożem wierzbowe witki. Ja trzępię chodniki, bogini pełza po trawie nieopodal mnie.

Dzień jest podobny do wczorajszego: ranek słoneczny, w południe nadpełza sina deszczowa chmura, podwórko oberży zanurza się w półmroku, słońce ucieka na zachód, wykreśla na ziemi długie wyraziste kontury; kury od razu zaczęły się miotać i gdakać, dały o sobie znać ostatnie świerszcze. Jednym słowem - od razu zrobiło się nieswojo.

Patrzę na swoją boginię.

A ona nagle wyciąga spod pancerza łapy, staje niemal na czubkach pazurków, unosi najwyżej jak się da skórzastą głowę. Słyszę ciche klaśnięcie. Jakby pękła mydlana bańka.

A potem już nie słyszę nic.

Umilkły świerszcze.

Biegają z rozpaczliwie otwartymi dziobami bezgłośnie kury.

Bezdźwięcznie kołyszą się na wietrze korony drzew.

Cisza.

Ja, tak jak i wczoraj, wdrapuję się na dach kurnika i z całej siły macham wytrzępanym bieżnikiem.

Pies unosi się na tylnych łapach i rozgląda się czujnie.

Przez płot przeskakuje zabójca i rzuca się na żebraka, unosząc nad głowę toporek, który pewnie gdzieś ukradł.

Żebrak zdążył paść na ziemię i odturlać się.

Pies z triumfującym wyrazem pyska zaczyna wyć.

Bezdźwięcznie.

Zabójca z przyzwyczajenia odskakuje wystraszony, potem zdumiony patrzy na psa.

Nic się nie stało.

Żarcik, który od dwu lat zabawia wszystkich tutejszych gości, tym razem nie chce się spełnić.

Zabójca żyje, pies jest niemy.

Zeskakuję na ziemię i na wszelki wypadek chwytam za polano, z takich cięższych.

Zamierzam przyładować psu w grzbiet, jeśli rzuci się na chłopaka.

Ale pies, zamiast tego, kuli pod siebie ogon i na drżących łapach wpełza pod ganek.

Widać nie podoba mu się obca moc.

Żebrak, korzystając z tego, że na sekundę o nim zapomniałam, rzuca się do ucieczki.

Najpierw na czworakach, potem wstaje na nogi.

Zabójca gania go po całym podwórku, stopniowo spychając pod stajnię.

Kątem oka widzę w oknie kucharkę i gospodarza.

Ich twarze zasługują na oddzielny i szczegółowy opis, ale nie mam czasu.

Zabójca w końcu zapędza przyszelego władcę świata do stajni, wpadam tam po nich.

Żebrak odstepuje ku ścianie, wystraszony rozgląda się, potem twarz jego wykrzywia grymas, zrywa z ręki królewską bransoletę, rzuca ją na stertę siana.

Zabójca unosi topór.

Wtedy wpadam na zabójcę, od tyłu uderzam go swymi kolanami w zgięcie kolan.

Tak mnie nauczył Gust.

Na wszelki, na taki właśnie wypadek.

Zabójca nie słyszał moich kroków, nie oczekiwał takiej podłości.

Wraz ze mną upada na podłogę.

Okazuje się, że nie jest ani taki lekki, ani taki znów mały!

Żebrak, przemieniwszy się w małą jaszczurkę, trytona, smyrnął do szczeliny w ścianie.

Spod kopy siana uroczyście i rzeczowo wpełza moja bogini.

Jak tam trafiła?

Nie mam pojęcia.

Ale jeśli się wierzy w boga naprawdę, to czasem może on dokonać cudu.

Na jej pomarszczonej szyi połyskuje malutka teraz bransoleta - dwa srebrzyste węże. Znak władzy nad światem.

Nagle powracają dźwięki. Skrzypią drzwi stajni, rżą wystraszone konie.

Zabójca siada, pociera stłuczone ramię i mówi wszystko, co o mnie myśli.

Obejmuję go, tym razem już nie po to, żeby go skrzywdzić, i szepczę:

- Już dobrze, ciszej, nie złość się, wszystko będzie dobrze.

- Co ci się tu dobre wydaje? Przecież uciek!

- Niech ucieka. Bez bransolety nie ma w nim mocy, chyba to wiesz? A po co zabijać kogoś bezsilnego?
- A bransoleta? Straciliśmy bransoletę!
- Nic to. Teraz ma ją Gesichja, i nie ma czego się bać. Ona jest najstarsza. Starsza od nas, i bogów, i całego świata. A jej moc nie ma granic. Widziałeś dzisiaj tylko malutki skraweczek jej mocy. Da sobie radę z żywiołami i bogów może obsztorcować.
- I uważasz, że to dobrze? Nie będziemy potem płakali, że cały świat jej oddaliśmy?
- Wiesz co - powiadam - na pewno jestem głupia jak but z lewej nogi i tak dalej, ale jeśli coś wiem na pewno, to jedno: ona jest boginią błogosławiącą, a nie przeklinającą.

Postanowiono zwrócić mu jego własność,  
a kapłanom nakazano zdjąć z niego przekleństwo,  
przez nich samych nałożone, po decyzji ludu.  
Wszyscy kapłani dokonali oczyszczenia, tylko jeden Teodor oświadczył:  
"Co się tyczy mnie, to ja go nie przeklinałem,  
i nie zrzucąłem na jego głowę nieszczęść,  
skoro nie przyczynił zła Atenom".  
PLUTARCH - "ŻYWOTY"  
Przełożył Eugeniusz Dębski

#### JELENA PIERWUSZYNA

Urodziła się w 1979 r. w Sankt Petersburgu, gdzie mieszka i pracuje. Ukończyła studia na Akademii Medycznej, jest lekarzem endokrynologiem. Fantastykę pisze od osiemnastego roku życia, pierwsze opowiadanie ukazało się w ukraińskim czasopiśmie "Porog". Publikowała też artykuły o fantastyce i recenzje utworów fantastycznych.  
E.D.